
KATARZYNA
GODEFROY
Opowieści
z zamku

Katarzyna Godefroy

Opowieści z zamku

Redakcja
Elżbieta Kuszmider

Korekta
Katarzyna Krzan

Okładka
Mariusz Jurgiel

Skład
Katarzyna Krzan

Druk i oprawa
Bookpress.eu
Copyright © by Katarzyna Godefroy 2026
Copyright © for this edition by
Wydawnictwo Seqoja 2026
ISBN druk: 978-83-67935-76-0
ISBN e-book: 978-83-67935-77-7

Wydawnictwo Seqoja
ul. Żołnierska 11B/20, 10-558 Olsztyn
tel. 534 834 852
e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl
www.seqojawydawnictwo.pl

Olsztyn 2026
wydanie I

Wszystko zaczęło się od książki *Ostatnia arystokratka* Evžena Bočka. Ponieważ sama mieszkam na zamku i pochodzę z Europy Wschodniej, zainspirowana lekturą, stworzyłam *Opowieści z zamku*.

Zamek

Mam na imię Katarzyna, jak caryca, i choć mojej codzienności bliżej do komedii pomyłek niż dworskiego blichtru – jestem panią na zamku. Nie z urodzenia, lecz z przypadku. Los rzucił mnie z polskich kresów na francuską prowincję, gdzie z emigrantki przemieniłam się w markizę. Oczywiście nie taką od zasłaniania okien, tylko jedną z tych, które ponoć nadają *bon ton* i prezentują *noblesse oblige*. Chciałabym tylko wiedzieć, co to dokładnie oznacza. Wyobrażenia o arystokracji czerpię z książek i filmów, bo realia zamkowe bywają znacznie bardziej prozaiczne.

Zamek, choć brzmi romantycznie, nie oferuje bogato zdobionych komnat, a raczej długie, lodowate korytarze, które wieczorami przypominają tunele wykute w lodowcu. Prąd działa tu, kiedy ma kaprys, więc z Piotrem często rozsiadamy się przy świecach, próbując odtworzyć atmosferę epoki, w której to właśnie one były szczytem techniki. Piotr, mój małżonek i zarządca posiadłości, z wykształcenia jest hodowcą krów, a z zamiłowania filozofem wiejskiej egzystencji. Wspólnie czuwamy nad tym, by zamek nie popadł w ruinę – właściciele mieszkający w Paryżu interesują się nim głównie od święta, przysyłając dzieci na inspekcje.

Jako pisarka poszukująca natchnienia do kolejnej powieści, obserwuję życie zamku, czekając na przypływ inspiracji. W międzyczasie doję krowy, sprzątam sale zamkowe i czasem oprowadzam turystów. A ci są różni. Jedni z wypiekami na twarzy chcą słuchać o duchach i dawnych tragediach – tym chętnie pokazuję komnatę z portretem Eleonory, siostry ciotecznej babki Piotra. Biedaczka umarła z tęsknoty do marynarza, który popłynął na przylądek Horn i słuch po nim zaginął.

Są tacy, którzy przyjeżdżają tylko po zdjęcia na Instagrama. Wchodzą, pstrykają i znikają, nie zadając nawet jednego pytania. Piotr twierdzi, że to nowoczesna forma pielgrzymki – nie dla strawy duchowej, lecz dla algorytmu.

Najbardziej lubię grupy szkolne – dzieci biegające po dziedzińcu, przekrzykujące się w zachwycie lub strachu, zależnie od tego, czy właśnie usłyszały legendę o tajemnym przejściu, czy zobaczyły martwego nietoperza. W takich chwilach czuję, że zamek naprawdę żyje – nie jako muzealny eksponat, ale jako miejsce, które wciąż budzi emocje.

No i jest jeszcze nasza Biała Dama. Pojawia się późnym wieczorem, kiedy zamek układa się do snu, a w sali kominkowej zostaje tylko blask żarzącego się popiołu i zapach palonego drewna. Siada w fotelu, z wdziękiem nalewa imbirowej herbaty do miśnieńskiej filiżanki. Piotr twierdzi, że kiedyś kiwnęła mu głową. Ja sądzę, że po prostu wraca tam, gdzie kiedyś czuła się bezpieczna.

Gdyby istniał medal za wielozadaniowość, pewnie już bym go nosiła. Uwielbiam się przebierać w historyczne stroje i organizować wymyślne obiady czwartkowe.

Zaproponowałam nawet, by wypychać konie na potrzeby przyszłej oranżerii. Piotr skomentował, że moje pomysły mogą być efektem powikłań po grypie.

Zatrudniliśmy kilka osób, by życie w zamku stało się bardziej znośne. Maestro Augusto, to prawdziwy mistrz kuchni – choć raczej eksperymentalnej. Potrafi podać ostrygi smakujące szpinakiem lub kaczkę na niebiesko.

Pani Renkloda już na dzień dobry oznajmiła, że trzyma się ustalonych przez siebie reguł. Sprząta wyłącznie między dwunastą a czternastą, a za godzinę pracy bierze dwadzieścia pięć euro. Piotr bezsilnie opadł na fotel i stwierdził, że nawet połowy z tego nie zarabia i będzie musiał wziąć kredyt.

Nasz ogrodnik to człowiek miły i zrównoważony. Twierdzi, że kwiatom należy śpiewać, bo wtedy lepiej rosną. Chodzi więc po podwórzu z ukulele i śpiewa pieśni trubadurów, aż uszy więdną. Koty pochowały się w szafach, a ja napchałam waty do uszu, by nie słyszeć tego zawodzenia. W takich chwilach żałuję, że nie mamy lochów ani nawet katakumb, gdzie mogłabym się ukryć.

Pan Jarząbek marzył o urządzaniu turniejów rycerskich. Zapytałam, czy nie zniechęca go fakt, że jeden z królów Francji, Henryk II, zmarł na skutek rany odniesionej w zawodach. Widocznie nie, bo usilnie namawia Piotra, by przekształcić ogród w plac turniejowy. Dobrze, że nie zadławiłam się ością, bo akurat Maestro Augusto zaserwował nam rybę na szaro. Podobno to karp z naszej fosy. Nie wiem, czy w fosie rzeczywiście mieszkają karpie, nikt tego wcześniej nie sprawdzał.

Pani Renkloda stała przez dwie godziny oparta o miotłę i patrzyła, jak jemy. Kiedy zapytałam, dlaczego ciągle się

na nas gapi, odparła, że się nie gapi, tylko sprząta, a my siedzimy na środku pokoju. Zasugerowałam, że mogłaby wybrać inne miejsce, ma przecież do dyspozycji dwadzieścia dwa pokoje. Naburmuszyła się i oznajmiła, że nikt nie będzie jej mówił, co ma robić. Potem zażądała pięćdziesiąt euro za pracę i poszła do Augusta na skargę. Godzinę później widziałam ich razem w kuchni. Siedzieli nad orzechówką, którą August zrobił z… żołędzi. Podobno w zeszłym roku brakowało orzechów. August stwierdził, że po zalaniu alkoholem i tak nikt nie poczuje różnicy. Nie dziwię się, spirytus z tej nalewki wypala nie tylko przełyk, ale i kubki smakowe.

W niedzielę odwiedził nas kuzyn Hub. Stwierdził, że powinniśmy kultywować tradycje i chodzić na mszę do kaplicy zamkowej. Problem w tym, że z kaplicy został jedynie kawałek muru. Nie wiem, czy to zasługa Anglików z czasów wojny stuletniej, czy Niemców broniących wybrzeża podczas lądowania aliantów.

W trakcie mszy miałam wrażenie, że nos odpadnie mi z zimna. Piotr uspokoił mnie, że rozgrzejemy się rumem przywiezionym z Karaibów. Kuzyn Hub mieszka na Gwadelupie i zawsze przywozi lokalne atrakcje, w tym tancerki. Pan Jarząbek zaproponował im spacer po okolicy. Uważałam, że oprócz pól i morza nie mają tu czego oglądać, a nasze morze w porównaniu z rafą koralową wypada blado. Co najwyżej można wyłowić z niego stary kalosz. Jarząbek jednak się uparł.

Tancerki wywołały spore poruszenie w okolicy, zwłaszcza że przechadzały się po wsi w spódniczkach z palmowych liści. Wróciły całe fioletowe z zimna, a ja razem

z panią Renklodą musiałam nagotować dwa wielkie gary wody, żeby mogły się ogrzać. Myślę, że ten dzień zapamiętają wszyscy – wieśniacy, którzy widzieli „niebieskie syreny tańczące salsę", i same tancerki, które dowiedziały się, co znaczy zima w Europie.

Wieczorem, kiedy zamek na chwilę ucichł, usiedliśmy z Piotrem w kuchni, gdzie ogień w kominku strzelał leniwie. Renkloda i August, wciśnięci w fotel, szeptali coś przy kieliszku nalewki. Pan Jarząbek z ukulele w rękach wpatrywał się w okno, jakby czekał na natchnienie.

– Może powinniśmy wynająć ten zamek do filmu? – rzuciłam, próbując przerwać ciszę. – Jakiś horror, wiesz, z duchami i gotycką scenerią. Mamy fosę, mamy zimno, mamy mury, które same się kruszą. Idealne!

Piotr spojrzał na mnie z rezygnacją.

– A kto by chciał przyjechać na taki koniec świata? Żeby jeszcze jakiś duch tu straszył…

– Jak to nie ma ducha? – Wskazałam na cień, który przemknął przez hol. Jednak to kuzyn Hub, lekko podpity, zabrał się właśnie za inspekcję „duchowego potencjału" zamku, trzymając w ręku lampion. W swoim mniemaniu wyglądał zapewne jak średniowieczny rycerz. W rzeczywistości przypominał raczej błąkającego się grabarza.

Maestro Augusto zerwał się z fotela z taką miną, jakby wpadł na pomysł życia.

– Słuchajcie, słuchajcie! Turniej rycerski, to jedno. Ale co powiecie na wieczory degustacyjne? Goście będą siedzieć po ciemku, przy świecach, a ja zaserwuję potrawy o smaku przeszłości!

– O smaku przeszłości? – zdziwił się Piotr.

– No tak! Pieczyste z epoki Ludwika XIV, chleb z popiołem, ryba w glinie, żurek sprzed trzystu lat…

– Żurek sprzed trzystu lat? – przerwała mu Renkloda, unosząc brew. – W jaki sposób zdobędziesz przepis?

August tylko machnął ręką.

– Sam wymyślę! Grunt to pozory, moja droga. Powiem, że autentyczne, będą jeść i się zachwycać!

Nie zdążyłam się wtrącić, bo z holu dobiegł nas huk i przerażony krzyk. Wszyscy wybiegliśmy na zewnątrz, gdzie Hubert utknął w drewnianej konstrukcji. Wyglądała jak skrzyżowanie katapulty z kołowrotkiem.

– Co to za diabelstwo? – jęknął Piotr, podnosząc lampion.

Z mroku wyłonił się pan Jarząbek.

– Prototyp! Sprawdzam, jak wyglądałby na turnieju! – powiedział z dumą.

– I Hubert postanowił przetestować to na sobie? – zdziwiłam się.

– Nie, sam wpadł. Zasady fizyki są nieubłagane – odparł spokojnie ogrodnik. – To jest przeszkoda na torze rycerskim, ale jeszcze wszystko trzeba wyregulować.

Hubert jęknął, a jedna z desek złowrogo zatrzeszczala. Pomogliśmy kuzynowi zejść z wynalazku Jarząbka. Tego wieczoru nikt już nie próbował „udoskonalać zamku". Nawet Jarząbek schował ukulele. A ja, siedząc z kieliszkiem orzechówki (nie z żołędzi, na szczęście), myślałam o tym, że życie na zamku to może i wyzwanie, ale czy kiedykolwiek jest nudne? Nigdy!

Święta

Zamek w czasie świąt wyglądał niczym wyjęty z dawnej ryciny. Zimne mury, obojętne i wyniosłe, błyszczały w świetle choinkowych lampek, które Piotr z determinacją rozwieszał wszędzie, gdzie się dało. Szare ściany mieniły się odcieniami złota, czerwieni i szmaragdu. Śnieg leżał na dziedzińcu jak idealnie rozłożony obrus, a fosę przykryła warstwa lodu, na którym Jarząbek – ekscentryczny ogrodnik – próbował urządzić turniej rycerski na łyżwach, ale z braku chętnych sam sunął po tafli w starych, zardzewiałych łyżwach, śpiewając balladę o samotnym rycerzu. Koty uciekły do kuchni, gdzie ogień w kominku trzaskał wesoło, obiecując, że rozgrzeje każdego, kto zmęczył się szaleństwami na zimnie.

Maestro Augusto, od rana aktywny, śpiewał na cały głos kolędy i rozsiewał w wokół siebie aromat cynamonu i pieczonych jabłek.

– Świąteczne menu wymaga kreatywności! – oznajmił, wciągając na siebie fartuch z wyhaftowanym reniferem. Wielką chochlą zamieszał w miedzianym garnku, z którego unosiła się para pachnąca śliwkami i winem. Augusto na świąteczną kolację postanowił bowiem zaserwować bażanta w śliwkach, pieczone kasztany oraz „pudding z epoki wiktoriańskiej".

Kuszące zapachy sprawiły, że nawet Renkloda, zwykle nadęta i sceptyczna, ciągle przemykała do kuchni, udając, że sprawdza miotły w schowku.

– Czy ktoś widział Huberta? – zapytałam, kiedy nadszedł wieczór. Kuzyn miał przecież wcielić się w rolę świętego Mikołaja dla dzieci z okolicznych wiosek.

Nikt go nie widział, ale za to pojawiła się grupa wieśniaków z prezentami, a wśród nich kosz jabłek, dzban śliwowicy i… żywy indyk. Piotr, zmieszany, próbował wyjaśnić, że mamy już świąteczne dania, ale jeden z mężczyzn odparł, że indyk to „symboliczny gest" i „nie można go odrzucić". Augusto spoglądał na ptaka z wyraźną ciekawością, ale Piotr stwierdził, że indyk zostanie maskotką zamku.

Hubert w końcu odnalazł się w jednym z pokoi gościnnych, gdzie postanowił przymierzyć strój Mikołaja, popijając rum z Karaibów. W samych bokserkach oraz czapce z pomponem wyglądał, jakby święty zdecydował się na wakacje w tropikach i nieco przesadził z drinkami. Gdy w końcu udało się go namówić do zejścia na dziedziniec, dzieci były zachwycone, choć jedno zauważyło, że Mikołaj dziwnie pachnie.

Kulminacją wieczoru była uczta w wielkiej sali. Kamienne ściany oświetlały ustawione na stołach świece; ich płomienie rzucały tańczące cienie na dekoracje z gałązek świerku i ostrokrzewu. Na środku stołu królował pudding – oblany płonącym alkoholem, który wydawał się pląsać w rytm cichych dźwięków muzyki. Bażanty, z chrupiącą skórką pachnącą tymiankiem, wyglądały tak realistycznie, że niemal można było oczekiwać, iż zaraz zaczną gruchać. Jarząbek, w świątecznym nastroju,

podśpiewywał pod nosem: „Cicha noc, święta noc", a Renkloda – po kieliszku żołędziowej nalewki – zaczęła opowiadać historie o duchach.

Wieczór zakończyliśmy w sali kominkowej, gdzie ogień na palenisku trzaskał z entuzjazmem. Piotr znad kieliszka rumu wpatrywał się w płomienie.

– Wiesz – powiedział – może zamek to nie jest najłatwiejsze na świecie miejsce do życia, ale są chwile, kiedy…

– …jest idealnie? – dokończyłam za niego, patrząc, jak Hubert zasypia w fotelu w stroju świętego Mikołaja, a Jarząbek nuci piosenkę o mrozie, który maluje kwiaty na szybach.

Gdy zegar wybił północ, usłyszeliśmy dochodzące z kaplicy głębokie, przeciągłe dźwięki organów.

– Czy ktoś… gra? – wyszeptałam, a Piotr powoli odłożył kieliszek.

– Wygląda na to, że duchy też lubią święta – mruknął z uśmiechem.

– Ale w kaplicy nie ma organów. Kaplicy też już prawie nie ma – powiedziałam niepewnie, widząc w myślach zrujnowaną, samotną ścianę.

Zapadła ciężka cisza. Hubert, jeszcze przed chwilą drzemiący w fotelu, otworzył oczy i spojrzał na nas z niepokojem. Jarząbek przestał nucić i wpatrywał się w drzwi, jakby spodziewał się, że zaraz coś zza nich wyjdzie.

– Nie powinniśmy tego ignorować. – Piotr wstał i zdjął z półki lampę naftową. Głos miał spokojny, ale w ruchach widać było napięcie. – Chodźmy sprawdzić.

– Chyba żartujesz. – Hubert przeciągnął ręką po twarzy, wciąż w połowie zanurzony we śnie. – Jest środek

nocy, a ty chcesz włazić do ruin, z których nagle dochodzą dźwięki jak z koszmaru?

Piotr spojrzał na niego z przejęciem.

– Jeśli tam nie pójdziemy, będziemy o tym myśleć do rana. A duchy, Hubert, nie lubią czekać.

Niechętnie, ale wszyscy razem wyruszyliśmy w stronę kaplicy. Z każdym krokiem zimno zdawało się gęstnieć, a echo naszych kroków rozlegało się dziwnie głośno. Gdy dotarliśmy na miejsce, zatrzymaliśmy się przed wejściem. Zrujnowany mur kaplicy odbijał światło latarni.

– Nikogo tu nie ma – powiedział Jarząbek, ni to z ulgą, ni to z rozczarowaniem.

– Może to wiatr… – zaczął Hubert, ale przerwał.

Zauważyliśmy, że pośrodku ruin, w miejscu, gdzie powinna być pusta przestrzeń, widniał w mroku delikatny, prawie przezroczysty zarys organów. Klawisze same się unosiły, wydając melancholijne tony.

– Święta – powiedział Piotr cicho – nigdy nie kończą się tutaj zwyczajnie.

Nie wiedzieliśmy, czy się śmiać, czy uciekać. Nagle wiatr zawył przeciągle, a następnie kaplica pogrążyła się w ciszy.

Wróciliśmy do sali kominkowej. Każdy z nas wiedział, że w zamku magia nie kończy się na świątecznych dekoracjach.

Spis treści

Zamek · 5
Święta · 11
Nowy Rok · 15
Joanna d'Arc · 20
Wiosna · 25
Drakula · 29
Złota Rybka · 34
Sen · 42
Rozmowa · 45
Plan · 50
Przyjazd · 57
Narada · 63
Film · 69
Pocałunek · 77
Powrót do normalności · 84
Wyprawa na Karaiby · 92
Złota kaczka · 99
Królowa · 109
Powrót · 118
Ślub · 125
Strażniczka nabrzeża · 132
Czarne ptaki · 135
Zakochany Drakula · 142
Problem · 146

SEQOIA